Nr. 52 (1666). Warszawa, 28 grudnia 1912. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Widok Nr. 3 Telefon Nr. 73-80

POLECAMY

Sklep Stowarz. Wspóldzielczego

„Samopomoc"

Foksal № 18

mający na sprzedaż WYROBY WYŁĄCZNIE KRAJOWE z działu norymberszczyzny, galanteryi, towarów bławatnych ze specyalnem uwzględnieniem materyałów na mundurki i t. p.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

Wypisy Historyczne

pod redakcją

prof. KAZIMIERZA WACHOWSKIEGO

Wypisy historyczne

mają za zadanie wyrobienie w uczniu zmysłu historycznego, dostarczenie mu materjału do porównywania bytu i charakteru różnych narodów, a przez to wzbudzenie głębokiego zainteresowania zjawiskami historycznemi

— Wyszedł z druku —

Tom I. Historja Starożytna

W wyciągach z dzieł najwybitniejszych autorów Polski i Europy [illegible] ludów: Egiptu, Chaldei, Babilonu i Assyrji, Persji, Indji, Grecji, Rzymu w opracowaniu Justyny Jastrzębskiej i Kazimierza Wachowskiego

Historja Starożytna

zawiera 690 stronic tekstu i przeszło 300 ilustr. na 51 osobn. tabl. Cena tomu wynosi: broszur. rb. 3.50; w oprawie płóciennej [illegible]

NOWOŚCI! NOWOŚCI!

T. Konczyński Zawrotne drogi.

Powieść współczesna na tle dążeń kobiecych. Cena rb. 1.60.

Waterman Nixon. Jaką młoda dziewczyna być powinna

Wydanie wykwintne. Przekł. Emilji Węsławskiej.

Cena kop. 60, w ozd. opr. kop. 90.

Maciej Wierzbiński. Pięść Marcina Wilczka,

Cena rb. 1.50.

Tegoż autora poprzednio wydane:

POD MYSIĄ WIEŻĄ.

Powieść współczesna ze stosunków poznańskich. Cena rb. 1.80.

NA SKŁADZIE GŁÓWNYM POWIEŚĆ:

A. GRUSZECKIEGO MARYAWITA.

Cena rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

NOWO OTWORZONY

HURTOWY I DETALICZNY SKŁAD

MASŁA

Związków Włościańskich Spółek Mleczarskich

Chmielna 17, tel. 229-66.

Medale Złote na Wystawach Hygienicznych

50% oszczędności opału

usuwa wilgoć

patent. Multiplikator Ogrzewania do pieców pokojowych

Piece Żelazne Multiplikatorowe z nawilżaniem

Drzwiczki piecowe hermetyczne nie rozpalające się

Szybkonagrzewacze wody do kąpieli.

Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, Inż.-chem.

Warszawa Al. Jerozolimskie 71. Telefon 15-02.

Wystrzegać się naśladownictw

Zaproszenie do przedpłaty na R. 1913 na

ŚWIAT TEATRALNY

Dwutygodnik poświęcony sprawom teatralnym

Wychodzący w Warszawie pod redakcją WŁADYSŁAWA KOPCZEWSKIEGO

Rozpoczynając II rok wydawnictwa redakcja rozszerza znacznie **treść** i **rozmiary** pisma, przekształcając je z miesięcznika na **dwutygodnik**, oraz wprowadzając **dział ilustracyjny**. Przez to pismo staje się

największym pismem teatralnym polskim

a także jedynym, które obejmuje

całokształt zjawisk i spraw teatralnych.

Na treść pisma bowiem składają się artyku- [illegible] sprawozdania i korespondencje nie tylko ze wszystkich teatrów polskich, ale i z zagranicznych, plany i projekty inscenizacji, pamiętniki i wspomnienia, beletrystyka, obszerna kronika ruchu teatralnego polskiego i obcego, przegląd [illegible]

Pismo jest zarazem organem związku Artystów i Artystek Teatrów Polskich i specjalny dział poświęca omawianiu zawodowych i organizacyjnych spraw aktorstwa polskiego.

Przedpłata na „Świat Teatralny" wynosi:

W Warszawie rocz. 4 rb — k. Półrocz. 2 r. — k. Kwart. 1 rb. 20 k. Na prowincji 4 rb. 80 k. Półrocz. 2 rb. 40 k. Kwart. 1 rb. 20 k. Zagranicą 5 rb. 40 k. Półrocz. 2 rb. 70 k. Kwart. 1 rb. 35 k. Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie. Pojedynczy numer 20 k. Członkowie związku otrzymują pismo bezpłatnie.

Adres redakcji i administracji:

Warszawa, Smolna 34. Nr. tel. 280-92.

Nr 51 (1666). Rok XXXII
28/XII Warszawa 1912 r.

PRAWDA

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Na własnym gruncie

Projekt samorządu dla miast naszych był jak wiadomo tym słupem ognistym, który wiódł posłów polskich skros jałową pustynię 3-ej Dumy.

Kiedyśmy tutaj — w kraju — zasadniczo wyrażali powątpiewanie o owocności tych zabiegów, zamykano nam usta wciąż tym samym wyrazem, nęcącym jak widok ziemi obiecanej:

— Samorząd!

Tak! zdobycz samorządu miała być tą wielką i realną wygraną, która z nadmiarem powetuje szereg klęsk na innym poniesionych pobojowisku. Miała ona wynagrodzić kraj nasz i za wyodrębnienie Chełmszczyzny i za wywłaszczenia i za tysiąc dotkliwych upokorzeń.

Iluż bo ofiar, ilu poświęceń „posłowie" nasi nie brali na barki, aby pokorą swą i skruchą na nagrodę zasłużyć: na nagrodę w postaci samorządu? Przedstawicielstwo narodowe zmieniło się niemal w korporację braci pokutniczej która skazała siebie przymusem woli bezwzględnej na post nieustający, na ascezę, na włosienicę moralną: post ów polegał na wstrzemięźliwości od śmielszego słowa; asceza posunięta była aż do zupełnego zrzeczenia się godności narodowej; piekącą zaś jak żar hańby włosienicę noszono na znak wierności, zaprzysiężonej polityce żebractwa, na znak kajania się za grzechy urojone, na znak skruchy za mogiły rycerskie ojców, za odwagę śniących o przyszłości synów.

Gdy pytano posłów polskich, czemu w ciągu lat pięciu nie wymienili ani razu słowa „autonomja", kładli palec na ustach, nakazując narodowi milczenie:

— Myślmy o rzeczach realnych!... *Naprzód samorząd!*...

Gdy im stawiano zarzuty, iż zaniedbują interpelacji nawet w chwilach, gdy one bywają logiczną niemal koniecznością, ciż sami „mężowie" z tym samym na ustach palcem, szeptali:

— Bądźmy ostrożni! Przedewszystkim chodzi nam o *samorząd*.

A kiedy wreszcie, już pod koniec kadencji, wytykano Kołu polskiemu, że w sprawie samorządu, podczas rozpraw nad jego wnioskiem, nie zabierało głosu wcale, odpowiadali jego członkowie w ekstazie nadziei, raz jeszcze:

— Bądźmy trzeźwi! bądźmy ostrożni! Nie żądajmy zbyt wiele!

Apostołowie ostrożności! Naiwni marzyciele oportunizmu!

Żyjąc stale złudzeniami, wyobrażali sobie oni, że pokorą i milkliwością sprawę przyśpieszą, że po zgiętych ich plecach, jak po gładkim lodzie, najsnadniej wszystkieześlizgną się zarzuty, wszystkie w nicość stoczą się przeciwności.

Już jednak czas najbliższy miał srogi przynieść im zawód: okazało się, że jak takie lub inne rozstrzygnięcie sprawy, tak i przyśpieszenie decyzji nie leżało w zakresie ich mocy.

Gdy odcięcie Chełmszczyzny uchwalono w obu izbach prawie jednym tchem, na uchwalenie samorządu — zbrakło czasu.

Ha! nie traćmy nadziei! — łudzono nas wtedy; — poczekajmy jesieni, gdy zbiorą się nowe izby! Byle tylko, zebrawszy się, stanęły one na gruncie zasady, podejmującej ciągłość prac prawodawczych, to znaczy: byle tylko Rada Państwa, zgromadziwszy się w nowym składzie, podjęła puściznę przekazaną jej przez 3-cią Dumę.

I ta ostatnia nadzieja się ziściła: niestety, p r z e p a d ł t y l k o — p r o j e k t s a m o r z ą d u.

Rada państwa stwierdziła zasadę ciągłości prawodawczej poprzez okresy pełnomocnictw poselskich i wzięła projekt samorządu pod obrady, — wzięła, aby uroczyście złożyć go w grobie na wieczne odpoczywanie.

Najoptymistyczniejsze bowiem głowy nie mogą inaczej nazwać uchwały, jaka w wyniku rozpraw nad projektem samorządu zapadła w Izbie wyższej: uchwały odsyłającej ów projekt do komisji, celem dokonania w nim różnorodnych poprawek. Nikt nie wierzy w to, aby z grobu komisji projekt mógł kiedykolwiek wrócić do życia.

Sami sprawcy „odesłania" rzeczonego projektu do komisji nie tają bynajmniej swych zamiarów istotnych: swych intencji dla samorządu—śmiercionośnych.

Samorząd miejski tedy stanie po raz wtóry w progach życia dopiero wówczas, gdy n o w y będzie przedstawiony projekt. Ten bowiem, który się obecnie znalazł w Radzie Państwa, jest już tylko — cieniem umarłego. Zanim jednakże projekt nowy — *przeciw wichrowi płynąc* — komisje obu izb i ich posiedzeń plenarnych przepłynie, miną nie miesiące, ale lata całe.

Tak oto twardym głosem przemówiła nagle rzeczywistość do narodu całego, ponad głowami jego przedstawicielstwa w izbach państwowych.

Więc o nową złudę jesteśmy ubożsi? Więc po nowym zawodzie — nowa dawka trzeźwości ku opzytomnieniu?

Lecz jakże to? Zali cały ostatni okres polityki naszej, od roku 1907 do chwili obecnej, nie płynął pod hasłem trzeźwości? Zali oportunizm nie był sterem polityki naszej na terenie petersburskim w ciągu ostatnich lat pięciu?

Wobec dziwnego stajemy zjawiska. Stwierdzić musimy, że dla pewnych głów idea trzeźwości stać się może narkotykiem upojenia, równie silnym, jak szał; budzącym wizje, jak gorączka.

Głowy trzeźwością pijane! — oto właściwe miano tych polityków, którzy interes ojczysty zapragnęli na drobną rozmienić monetę, aby po groszu, po szelągu go realizować! — i którzy, jako przyszli, tak też z pustymi odeszli rękoma.

Fanatycy dreptania! — oto przydomek tych patrjotów, którzy w obawie, aby się z korzyścią kraju w drodze nie rozminąć, nie śmieli kroku uczynić, drepcąc tylko i gnąc się w pokłonach na miejscu, gdy tymczasem rzeczywistość, ich oczom niedostępna, przetoczyła się wysoko ponad ich głowami.

Drobne zyski; drobne, lecz konkretne i rzeczowe zdobycze: — zali nie takie było hasło na sztandarze poselstwa naszego wypisane? Realizm i oportunizm: — zali nie tak brzmiał w słowo zaklęty rozum stanu polski, na mównicy parlamentarnej?

I cóż widzimy obecnie? To, co za najrealniejszy podawano program, okazało się marą, uwodzicielstwem, utopją. U kresu tej skromnej, ale rzekomo pewnej i korzystnej ścieżyny, która doprowadzić miała nas do ubogiego, wprawdzie, lecz bezpiecznego schroniska, rozwarła się ta sama przepaść, w której legły i najfantastyczniejsze marzenia.

Lecz nie dość na tym. Programowi „drobnych zdobyczy“ podporządkowany był cały tryb działania zbiorowego na gruncie miejscowym. Pod tym hasłem kilkakroć organizowano wybory.

— Precz z ideologją godności, hartu, samoistności narodowej! — oto co rozbrzmiewało powiekroć z trybun wyborczych. — Niech żyją drobne korzyści! Niech żyje najbardziej okaleczony samorząd! Niech żyje i pozdrowione niechaj będzie kalectwo samorządu, skoro ono ma okupić jego byt realny, jego — życie!

Tą drogą rozumując, Koło polskie z ufnością w sercu rosnącą patrzyło na okrawanie projektu, na jego paczenie, bo każdy akt nowy upośledzenia tegoż — zdawał się im nową być rękojmią jego rzeczywistości.

Projekt atoli samorządu innemu uległ losowi: okaleczono go w tym celu, aby go — okaleczały i półmartwy — dobić!

Wraz z nim legły w proch i wszystkie rachuby, jakie na organizacji samorządu budowano.

Przedewszystkim upragnione przez pewne zespoły rozwiązanie sprawy żydowskiej: rozwiązanie zapomocą ograniczeń politycznych. To pole, na którym chciano Żydom wydać najwalniejszą bitwę, stało się polem sromoty Koła polskiego w 3-ej Dumie. Tym tylko i — niczym innym.

Głoszoną przez nas zasadę równouprawnienia wszystkich obywateli w samorządzie, przyjmowano w obozie przeciwnym, jako utopję. Walkę ekonomiczną przeciwko zalewowi żydowskiemu, do której wzywaliśmy społeczeństwo, celem polszczenia miast w Królestwie, uznano w obozie tamtym za niedostateczną, za niewiodącą do celu. Główne, najgłębsze zaufanie położono w ograniczeniach państwowych, krępujących Żydów, w przywileju, naszą poręczającym przewagę.

Dziś, ostatecznie, nadzieja przywileju, z zewnątrz nam ofiarowanego, znikła. Znikła na długo. Na własne zostaliśmy zdani siły. Na te siły, które my, postępowcy, do najwyższej pragniemy podnieść potęgi, a w które wiary dość silnej nie możemy wpoić w inne odłamy narodu.

Bo oto, jeszcze nie przebrzmiało echo klęski, w której powalony został projekt samorządu wraz z domniemanymi ograniczeniami Żydów, a już pewne koła miejskie w Warszawie przedsiębiorą usiłowania nowe, aby skrępować Żydów rygorem częściowych ograniczeń; ściślej: aby wyjednać odpowiednie rygory u rządu. Mówimy o uchwale Towarzystwa Kredytowego Miejskiego w Warszawie, które postanowiło zwrócić się do władz państwowych z petycją o zastosowanie dla Żydów 20 proc. normy w łonie Dyrekcji Towarzystwa. Do tych samych władz, które wytrąciły nam przed tygodniem z pod nóg deskę ratunkową, udać się postanowili członkowie Towarzystwa z prośbą, aby im pozwolono wbić szpilkę w ciało Żydów, szpilkę szykany, szpilkę odwetu; bowiem nie o rzeczywistą walkę tu chodzi, ale o małostkowe jedynie porachunki. W istocie, nie liczba członków Żydów w Zarządzie Towarzystwa jest dla nas groźna, ale groźny jest ich stan faktyczny posiadania. Liczba krzeseł w Zarządzie przez Żydów zajmowanych jest tylko wskaźnikiem, tylko świadectwem ich rzeczywistej siły w zakresie posiadania. *Nie ów wskaźnik ich siły należy fałszować przez sztuczne ograniczenia, ale siłę ich samą pomniejszać i wypierać zbiorową całego narodu pracą ekonomiczną i społeczną.*

Czas, najwyższy czas już cofnąć swe rachuby i swe nadzieje, na Wschód pod jutrznię daleką od szeregu lat naprózno wysyłane; czas cofnąć je i zwinąć tak, jak już dawno zwinęliśmy chorągwie wiary ku złotym łunom Zachodu wiejące. Sami na sobie tylko polegać możemy i polegać musimy. Na własnym gruncie ojczystym oprzeć musimy nietylko podstawy mocy, ale i źródła ocen, wartości naszych, naszych nadziei, tęsknot, umiłowań, dumy, poczucia wreszcie prawa i — zasługi oraz odpowiedzialności.

— Tu jest mój środek, tu — moja stolica! — tymi słowy przez usta genjusza poety [1]) wypowiedział swe genjusz narodu, potwierdzając byt swój na ziemi swojej. Są to zarazem słowa te same, które rok obecny, konając, przekazuje, niby też winobranie, swemu następcy,— w sercach naszych je zwiastuje głosem surowych doświadczeń nadciągającej wiośnie, która — któż wie? — być może nie też, ale krwi czarnej winobraniem będzie.

W. Rzymowski.

[1]) Norwida. (*Pieśń do ziemi naszej*).

O przyszłość Austrji.

II.

W artykule poprzednim streściliśmy ideę trjalizmu na tle dążeń wyzwoleńczych pięciu miljonów Serbo-Chorwatów, przykutych do rydwanu Węgier. Zobaczmy teraz, jak wygląda trjalizm na tle austrjackiej racji stanu, trjalizm, widziany z Wiednia, z okien Burgu.

Otóż, pewne wpływowe sfery w otoczeniu monarchy zalecają trjalizm, jako jedyny niechybny i korzystny sposób zaszachowania butnych Madziarów, a zarazem — sposób właściwej konsolidacji dynastji i państwa. Pozatym wiadomo, że stronn. chrześcijańsko-społeczne z Luegerem na czele popierało gorąco ten projekt, głównie dla względów religijnych, grających pierwszą rolę w planie biskupa Strossmayera.

Normalny bieg wydarzeń byłby może wysunął tę sprawę na porządek dzienny dopiero w r. 1917-ym, w którym upływa dziesięcioletni termin austro-węgierskiej umowy celnej, będącej głównym bodaj szkopułem na drodze współżycia dwóch naczelnych w Państwie czynników. Gdyby Węgrzy zerwali umowę celną — na co się zanosi — staliby się bodaj decydującym żywiołem, sprawującym faktyczne w Państwie zwierzchnictwo we wszystkich dziedzinach.

Ta bezwzględna hegemonja Węgier bynajmniej się nie uśmiecha ani austrjackim mężom stanu, ani wielkim przemysłowcom i finansistom wiedeńskim. Pragną więc oni stworzyć taki stan rzeczy, przy którym niezależność ekonomiczna Węgier stałaby się nie do pomyślenia. Otóż, aby utrzymać w karbach krnąbrnych Madziarów, dość odciąć ich od morza, z którym stykają się za pośrednictwem ziem południowo-słowiańskich: znajdą się wówczas Węgrzy w tym samym położeniu, na które tak głośno skarży się Serbja i z którego chce wyjść za wszelką cenę — nawet za cenę strasznego przelewu krwi.

Wyodrębnienie krajów południowo słowiańskich nad Adrjatykiem i powołanie do życia królestwa Ilyrji czy Chorwacji jest więc groźnym atutem w rękach wiedeńskich mężów stanu wobec Budapesztu.

Nie jest to zresztą atut jedyny. Jak wiadomo, dzisiejszy rząd węgierski stawia opór zajadły powiększeniu sił zbrojnych monarchji; aby ów opór przełamać, zamierza dynastja apelować do mas ludowych wprowadzeniem głosowania powszechnego na Węgrzech. Reformy wyborczej w tym duchu lęka się rządząca w Budapeszcie klika magnacka, jak djabeł święconej wody, ponieważ doszłyby niechybnie do władzy węgierskie żywioły demokratyczne wespół z ciemiężonym dotychczas narodowo i politycznie żywiołem „obcoplemieńczym", słowiańskim i rumuńskim. Na tym tle wynikły niedawno krwawe rozruchy w Budapeszcie, a w parlamencie rozegrały się sceny godne Szekspira.

Jak widać, w walce Wiednia z Budapesztem, pierwszy ima się rezolutnie skrajnych metod polityki demokratycznej i wolnościowej i zaprzęga do swego rydwanu tę samą rzeszę południowo-słowiańską, która w r. 1848-ym niosła poparcie czynne reakcji wiedeńskiej, gromiąc madziarski liberalizm.

Zrozumiałą jest więc rzeczą, dlaczego dynastja pragnie wesprzeć się na żywiole słowiańskim; niemniej jasnym jest, że dokonać tego może za pomocą *trjalizmu*. Ten ostatni, konsolidując koronę wewnątrz, wzmocniłby też potężnie zewnętrzne stanowisko monarchji, bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wolna, prosperująca pod berłem Habsburgów „Wielka Ilyrja" miałaby dla ludów bałkańskich urok niesłychany... Wiadomo, że w związku z tą ideą, powstał niedawno w Białogrodzie, wobec beznadziejności położenia materjalnego Serbji, bezwzględnie zależnej od austrjackiej polityki celnej — projekt wejścia w skład Korony Habsburskiej drogą zjednoczenia wszystkich Serbów i Chorwatów w domniemanej Wielkiej Ilyrji. Realizacja tego planu podniosłaby może trójjedyne „Państwo Wschodu" (*Oesterreich*) na szczyty potęgi i rozkwitu, nadając nadto zgoła inny, właściwszy charakter owemu parciu na Wschód, zapoczątkowanemu w Berlinie w r. 1878-ym.

Otóż — należy to powiedzieć wyraźnie — całą tę świetną perspektywę zmiotła odrazu wojna bałkańska; zamiast mglistych zarysów przyszłej Wielkiej Ilyrji dźwignęła się nagle, w glorji zwycięztwa i siły, Wielka Serbja sprzymierzona z Wielką Bułgarją.

Od Bałkanów do Karpat, od Warny do Trjestu, wrażenie wśród ludów słowiańskich jest piorunujące. Dokonywa się tam, w nieznanych cieśniach duszy zbiorowej, jeden z tych żywiołowych zwrotów, które tworzą nowe w dziejach etapy. Dotychczas układ sił w części południowej środka Europy, podważony jakby dźwignią tytaniczną, drgnął i chwiać się poczyna. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć niechybnie, że Serbja, w dwójnasób pomnożona, wsparta potężnie z jednej strony o sprzymierzoną Bułgarję a z drugiej o brzeg morski, którego tak dawno łaknęła — zamknie raz na zawsze wrota austro-niemieckiemu parciu na Wschód Bliższy, a nadto zwróci ku sobie pełne nadziei i tęsknoty spojrzenia słowian, zamieszkających Dalmację, Chorwację, Sławonję, nie mówiąc już o Bośni i Hercegowinie...

Czy wobec tego monarchja Habsburska może zachować spokój bierny? Czy może czekać z założonymi rękami na niechybne i zabójcze dla siebie następstwa tych wydarzeń doniosłych?

Czego chce Austrja? — pyta świat w trwożnym zdumieniu, wobec rozległych i śpiesznych przygotowywań wojennych w państwie Habsburskim. Odpowiedź prosta i łatwa: *Austrja chce się ratować.*

Trudno mieć jej za złe, że gdy ważą się jej losy, rzuca ciężki miecz na szalę. Raczej dziwić się należy, że zwlekała z tym dotychczas.

Natomiast wytknąć wypada, że w bitwach pod Kirk-Kilisse i narówni z Niemcami, dotkliwą klęskę pośrednią poniosła potęga Habsburska, z własnej zresztą winy. Przedewszystkim, rozległe widoki na przyszłość w związku z powołaniem do życia Wielkiej Ilyrji — tworzyły jaskrawy, drażniący kontrast z upośledzeniem Słowian, wydanych na pastwę Madziarom. Wskutek też tego, zamiast pociągać i nęcić, dotychczasowa polityka austryjacka zraziła sobie ludy bałkańskie, o naprawieniu zaś tych stosunków nie może być już mowy: Zjednoczenie Słowian Południowych nie jest już radosnym, lecz groźnym dla Austrji zjawiskiem, ponieważ nie Wiedeń przewodzić mu będzie, lecz Białogród.

Następnie, państwo Habsburgów musi ponieść następstwa ścisłego zespolenia interesów swych

z interesami Niemiec. Słusznie zauważył *Review of Rieviews* w listopadzie: „Pogrom Turcji kładzie kres ambicjom germańskim na wschodzie...“ Zamiast wymarzonego terenu „ekspansji“ po przez Konstantynopol i Saloniki hen! ku Zatoce Perskiej — ujrzeli Niemcy z przerażeniem dźwigającą się zwartą Rzeszę Południowo-Słowiańską.

Czyliż mogła polityka niemiecka patrzeć na to spokojnie? Oczywiście nie mogła — i oto *Koeln. Ztg.* woła d. 9 grudnia: „Gdyby Austrja ustąpiła wobec oporu serbskiego to *prestige* Austro-Węgier ucierpiałby do tego stopnia, że monarchja Habsburska, jako sojusznik, stracilaby znacznie na wartości“. Widzimy więc, że w chwili obecnej, na gruzach rozwalonego napoiu *trjalizmu*, zadzierzga się węzeł porozumień pomiędzy Wiedniem, Budapesztem i Berlinem w celu podania odsieczy Turkom, zaszachowania linji bałkańskiej i wpędzenia Serbów w dawne ciasne łożysko, do czego budowa wolnej Albanji pierwszym byłaby krokiem, następnych zaś przewidzieć niepodobna.

* * *

Obraz, jaki tu nakreślamy, byłby niezupełny, gdyby pominąć milczeniem inny jeszcze *kompromisowy* projekt „trjalizmu“, piastowany w kołach zbliżonych do następcy tronu, a więc mający obecnie szczególne znaczenie.

Projekt ów nie jest już wymierzony przeciwko Węgrom, lecz oparty na ścisłym z niemi porozumieniu, sposobem rekompensaty.

Obok Węgier i Austrji ma powstać mianowicie — *w granicach monarchji* — trzecie Państwo południowo-słowiańskie, zwane Wielką Kroacją, a składające się, obok Chorwacji właściwej, z Dalmacji, Bośni Hercegowiny, Karyntji i Istrji; ogółem 8 miljonów ludności. Państwo to pozyska konstytucję własną.

Wzamian za to, *Węgrzy otrzymują Galicję i Bukowinę* a więc znacznie więcej, niż miały dotychczas. Podobno z zamiany tej wszyscy będą zadowoleni, nawet (?) Polacy; jakoż istnieje pismo p. t. *Rzeczpospolita* z p. Studnickim na czele, które ową ideę krzewi.

Wątpić należy, czy zrealizuje się ona kiedykolwiek; gdyby jednak doszła do skutku, wydałoby to Czechów na pastwę wszechniemiecką, Polaków na pastwę Węgier, wzmocnionych o 50% liczbowo i terytorjalnie, ludy zaś bałkańskie zaszachowanoby od południa wolną Albanją, od północy zaś — w myśl planu biskuda Strossmayera — katolicką Chorwacją. Jeden rzut oka przekonywa, że tak misterny układ podyktowany być może jedynie troską o umiejętny nowy podział ziem i narodów słowiańskich pomiędzy uprzywilejowanych Madziarów i Niemców [1]) — podział, który wespół z poparciem i podniesieniem pogromionej Turcji tudzież z upokorzeniem Serbji i Bułgarji — odsunie na 100 lat grozę przewagi słowiańskiej, zawisłą nad Wiedniem i Berlinem.

L. Gorecki.

[1]) Gwoli ścisłości wypada dodać, że w obliczu „niebezpieczeństwa południowo-słowiańskiego“ dokoła Niemców i Węgrów grupują się nadto Rumunja i Włosi. Pierwsi widzą z niepokojem rozrost potęgi bułgarskiej, ostatni zaś walczą o włoski charakter Adrji. Jesteśmy więc świadkami *wojny ras* w całym znaczeniu tego słowa.

Powrót Jezuitów.

2) (Dokończenie).

U nas wytworzyło się niczym nieuzasadnione przekonanie, że Jezuici byli stałymi podporami władzy monarchicznej absolutnej. — Działo się to jedynie wtedy, gdy osobę lub dynastję panującą mieli wyłącznie w swoich ręku. Ilekroć jednak to koronowane narzędzie władzy wymykało się z pod ich kurateli, nie wahali się polecać, popierać, organizować spisków, zamachów i rewolucji przeciw panującycm. Już w końcu 16-go wieku Jezuita Marjane napisał o tym cały traktat, że zgładzenie ze świata monarchy, który odstąpił od katolicyzmu nie jest grzechem, lecz obowiązkiem. Wówczas chodziło w szczególności o Elżbietę angielską, która powinna umrzeć „śmiercią naturalną lub jakąkolwiek inną“ — jak to iście jezuickim stylem napisano. Kilkakrotne zamachy na królów francuskich, gdy ośmielili się uczynić ulgi Hugonotom, wywołanie rewolucji w Paragwaju a w Portugalji spisku na króla i tym podobne zabiegi wyrobiły im złą markę u dworów Burbońskich i te to właśnie absolutystyczne domy postarały się wpłynąć na stolicę apostolską, by skasowała Zakon Lojoli. Aktu tego dokonał papież Klemens XIV-ty w 1773 roku.

Bulla, obejmująca ten dekret i jego motywy, zawiera tak ujemną charakterystykę Towarzystwa Jezusowego, że nigdy żaden heretyk, mason ani bezwyznaniowiec nie zdobył się na bardziej druzgocące oskarżenie i surowsze potępienie znienawidzonego zakonu. Jakkolwiek w pierwszym rzędzie Klemens XIV-ty zarzuca im bezmierną chciwość i zagarnianie majątków, intrygi polityczne, wszczynanie zamętu i walk wewnętrznych w państwach i między państwami, walkę o władzę z innymi zakonami, szkołami, akademjami, intrygowanie i wichrzenie w obrębie Kościoła i w samej Stolicy Apostolskiej — nie braknie także w owej bulli potępienia nauki jezuickiej, głoszonej przez pisarzy Zakonu, — jako przeciwnej zasadom religijnym i moralnym Kościoła katolickiego. Widocznie jednak Klemens XIV-ty nieomylnym nie był, gdyż w 40 lat potym zakon Lojoli odzyskał wszystkie dawne prawa i przywileje w Kościele, przyczym nie był zmuszony wycofać z użycia ani jednej z potępionych ksiąg i do tej pory ćwiczenia i rozmyślania religijne odbywają się wedle tych samych podręczników, studja teologiczne na tych samych autorach się opierają, co w ciągu całego swego istnienia przed kasatą.

Najciekawszy rozdział z dziejów Towarzystwa Jezusowego stanowi ów okres blisko 40-letni nielegalnego trwania poza obrębem Kościoła.

Jeżeli jest w polityce jezuickiej jakąśkolwiek stała zasada programowa, to najprędzej możnaby za taką uważać dążenie do podporządkowania wszelkich świeckich instytucji władzy duchownej, do poddania Państwa Kościołowi, słowem to — co stanowi ogólną cechę klerykalizmu. Polityczna elastyczność Jezuitów i tu jednak uwzględnia wyjątki. Po skasowaniu zakonu istnienie jego w obrębie państw katolickich stało się niemożliwym, wtedy też dopiero zmuszeni byli opuścić Polskę. Przysięgli wrogowie dysydentów i dysunitów, sprawcy tumultów przeciw protestanckim zborom, ucisku religijnego wśród kozaczyzny, która, zbuntowana, wciąż domagała się wydalenia Jezuitów z Ukrainy, haniebnej sprawy toruńskiej

w 1724 r. — nie wahali się jednak szukać schronienia w protestanckich Prusach i prawosławnej Rosji. Pierwsze było krótkotrwałe, w Rosji natomiast zdołali sobie pozyskać na stałe łaski Katarzyny II-giej a potym jej następców. Wówczas pisarze jezuiccy, jak ksiądz Łuskina w Warszawie — dowodzili, iż istnienie Zakonu w obrębie Cesarstwa Rosyjskiego jest i z punktu widzenia katolickiego legalne, gdyż papież wzywając monarchów chrześciańskich, by jego bullę wprowadzili w życie, już tym samym uznał, że bez ich poparcia i sankcji ona nie będzie prawomocną. Przyznał tedy Łuskina cesarzowej Katarzynie prawo unieważniania decyzji Stolicy Apostolskiej, uczynił ją najwyższą instancją w Kościele katolickim.

Dzięki swej lojalności państwowej a nielojalności kościelnej byli Jezuici w Rosji mile widziani póty, póki Rzym się z nimi nie pogodził. Z chwilą gdy władza jenerała rezydującego w Połocku upadła a naczelny ster zakonu miał być przeniesiony do Rzymu, zostali Jezuici z Rosji wydaleni. Ztamtąd rozeszli się znów po całym świecie zagarniając pod swój wpływ kraje katolickie, a ponowny wzrost ich władzy był bardzo szybki bo wiemy jaką już wciągu XIX wieku potęgę stanowili w katolickich monarchjach. Pogodziwszy się w czasie Restauracji ze wszystkimi burbońskimi dworami, odnowiwszy starą przyjaźń z Habsburgami, stali się ostoją i podporą Świętego Przymierza, najzawziętszym przeciwnikiem dążeń wolnościowych we Francji, Włoszech, Austrji i całej Europie.

Ponowny wybuch niechęci ale tym razem nie ze strony rządów lecz ludów— znieść musieli Jezuici w 48 roku. Wtedy to zdarzyła się też — jedyna w dziejach chwila, — gdy Polacy zażądali ich wygnania. Było to w Galicji — a w szczególności we Lwowie, gdzie byli znienawidzeni za swą antynarodową działalność. Żądaniu temu cesarz uczynił zadość, ale w 7 lat później zyskali znowu w Austrji wolny wstęp.

Kiedy po utworzeniu cesarstwa niemieckiego wydalono ich z Niemiec, Polacy opłakiwali ich wygnanie jako klęskę narodową, nie dlatego by w ich gorący patryjotyzm mieli powód wierzyć, lecz że widzieli w nich ostoję katolicyzmu a katolicyzm i polskość uważali za jedno. Od tej pory nie przestają tęsknić za Jezuitami i stale popierają centrum w domaganiu się ich powrotu.

Oczywiście sprawa polskości nic na tym w zaborze pruskim nie zyska. Przeciwnie, nawskroś kosmopolityczna, z zasady wszelkie ojczyzny ziemskie podporządkowywająca niebieskiej, korporacja tłumić będzie wszelkie odruchy narodowej samoobrony, natomiast animusz wojowniczy Polaków spożytkuje na rzecz Zakonu, — przeciw masonom, socjalistom i protestantom bez różnicy narodowości.

J. Tarczewski.

Z mroków duszy tureckiej.

(Zagadki ludowe).

3) (Dokończenie).

Rozpatrzmy z kolei dalsze zagadki, poświęcone różnym okazom martwej i żywej natury:

Kiedy duży, duży stale,
mały zaś, nie rośnie wcale.
Kamień.

Dowcipna, choć niezgodna z wiedzą przyrodniczą zagadka.

Beczka z białej gliny,
a w środku dwa płyny.
Jajko.

Typowo piękna co do budowy i obrazowania zagadka o jajku spotyka się u wielu innych ludów Wschodu i Zachodu, lecz nigdzie niema takiego zręcznego i prawdziwego wyrazu.

Ptak czy baletnica?
[illegible]
[illegible]

Jedna z najbardziej pupularnych zagadek w zbliżonych do siebie warjantach u wszystkich prawie ludów.

Kudłate wparło głodne oko,
czerwone wisi za wysoko.
Pies, patrzący na mięso.

Zagadka przytoczona należy do rzędu często napotykanych u ludów wschodnich zagadek—dowcipów, gdzie na pierwszy plan wysuwany bywa komizm omawianych przez nie sytuacji. Humorystyczne zestawienie dwóch obrazów, głodnego psa i wiszącego wysoko mięsa, rozstrzyga o wartości dowcipnej zagadki.

Od zagadek—dowcipów, napotykanych, jak widzimy z powyższej, i u ludów turecko-tatarskich, roi się wprost w ludowej poezji ormiańskiej, gdzie znaleźć można arcyzabawne przykłady. [1])

Rozpatrzmy jeszcze serję zagadek, zagadywanych na różne sprzęty i rzeczy domowego użytku:

Wielbłąd pogania wielbłąda,
jak karawana wygląda.
Piekarska deska z bochenkami chleba

Bardzo wschodnia w swoim kolorycie i omawianej rzeczy zagadka turecka

Wzrost ma niezbyt duży,
lecz ogon jej dłuży.
Igła z nitką.

Jedna z najczęściej napotykanych zagadek we wszelkich poezjach ludowych.

Przewracam do góry, a gdy w środek włożę,
westchnę do Allacha i opuszczam łoże.
Pantofle.

Nie myślcie, że potwór,
wsadzam mu coś w otwór,
kucając to czynię,
źle, jeżeli zginie.
Kufer i klucz.

Kiedym wpuszczał, suche było,
ale mokre powróciło.
Wiadro studzienne.

Trzy powyższe zagadki, oparte na homonimizmie treści, jaskrawo charakteryzują pełen rubaszności i cynicznej swobody humor ludów turecko-tatarskich. Zagadek w tym rodzaju, lub, co gorsza, wprost jednoznacznych i zgoła nieobyczajnych znajdujemy bardzo dużo, co wskazuje na specjalne lubowanie się w tematach drastycznych.

[1]) Dla charakterystyki typowy przykład zagadek—dowcipów ormiańskich: „stoi pod łóżkiem, rozpoczyna się na p" — odpowiedź: „pantofle", dalszy ciąg zagadki: „stoi pod łóżkiem, rozpoczyna się na d" — odpowiedź „drugie pantofle".

Niż koń wyżej,
niż pies niżej.
Siodło.

Zagadka niezrozumiała. Chyba że należy ją rozumieć w ten sposób: gdy siodło na koniu, to wyżej od konia, kiedy zaś zdjęte i leży na ziemi, to wtedy od psa jest niżej.

W drzewie szkło, a w szkle tym dusza,
gdy się ruszysz, też się rusza.
Zwierciadło.

Nogę w otwór wkładam,
w krzesło wklęsłe siadam,
a gdy szarpnę dłonią,
już mnie nie dogonią.
[illegible]

Żebra ma, oddycha też,
choć nie żyje... Mów, gdy wiesz!
Miech kowalski.

Kara-chan na konia siadł.
żar się żarzy, dym i czad.
[illegible]

Co za koń? Po wodzie mknie,
[illegible]
Bez *wnętrzności* brzucho,
z samej *kości* ucho.
Czajnik.

W zagadce o czajniku zwraca uwagę omawiana już ornamentacja wierszowa rymowania w środku (wnętrzności—kości).

Bez uzdy jeździ koń — poczwara,
a z nozdrzy mu wybucha para.
[illegible]

Nie umrze z wieży rzucona,
od kropli wody zaś skona.
Bibułka do papierosów.

Ostatnie dwie zagadki, najmłodsze wśród swoich siostrzyc, jak wskazuje ich treść, dowodzą, że zagadka, jako rodzaj twórczości narodowej, nie przestała żyć i rozwijać się w Turcji. Wyparta z większych środowisk wielkomiejskich pod naciskiem obcych żywiołów i ich kultury, schroniła się przytulnie do chat włościańskich, gdzie „słowa ojców" najdłużej i najtrwalej są zawsze przechowywane.

Zresztą w ostatnich czasach nietylko orjentaliści europejscy, ale i świat naukowy turecki zwrócił na zagadkę należytą uwagę, skrzętnie zbierając zdrowe i czyste ziarno z bujnego sadu prastarej twórczości narodu

Remigjusz Kwiatkowski.

Per aspera ad.. diabolum.

W roku 1912, w stulecie bajki Napoleońskiej, zmarł nagle przy biesiadnym stole p. dyrektor Prosper Duda, człowiek — powiedzieć można i trzeba — od 1907 po tchnienie ostatnie znaczny, jeżeli nie jeden z pierwszych, którzy, od niczego począwszy, własną pracą dla własnego kraju i t. d.

Okoliczności, własny zgon dyrektora Dudy poprzedzające, w mniemaniu gości tragiczne, poza przypadkiem zgoła nieprzewidzianym, sprowadzały się do niektórych stanów krytycznych ducha, w które nieboszczyk popadał coraz częściej i zawsze pod znakiem jednego zapytania:

— Zdobyłem tu wszystko. Jestem dyrektorem. Cóż dalej?

— Pójdziemy, duszo, spać — odpowiadał p. Prosper, zdejmując kamizelkę.

Ale dusza nie chciała spać, dusza chciała wiedzieć, co się z nią stanie, gdy p. Prosper ją naraz opuści. Obawy te uzasadniała różnie i z różnych punktów widzenia.

Obiecywał jej niegdyś Duda wielkość. Czekała cierpliwie piętnaście lat, jak owych czasów panna. Wielkości — t. j. wielkości prawdziwej nie było! O dyrektorstwie zaś nie chciała słyszeć, a gdy p. Duda, w zrozumiałej potrzebie samoobrony, wyliczał przed nią wszystkie trudy swoje, stałość, charakter, równowagę, miłość dla własnego kraju, w którym, od niczego począwszy i t. d., jak dumna żona Makbetowa, nazywała go piecuchem, tchórzem, niedołęgą.

— Także! wyrwał się z swojem dyrektorstwem! Osieł!

— Mnie zazdrości sto tysięcy, miljon ludzi! — krzyczał Prosper w bezsennej pasji — inniby w sto lat nie doszli do takiego znaczenia! Mam oszczędności, jestem ubezpieczony na starość, zna mnie cała Warszawa i sam znam całą Warszawę — cóż jeszcze tu dziś zdobyć może człowiek?

— Osieł! — szeptała dobrotliwie — osieł! Ty nic nie zrozumiesz. To, coś zdobył, zdobyłeś nie dla mnie. Plwam na dyrektorstwo i oszczędności. Pytam: co będzie dalej?

Pan Prosper nie wiedział „co będzie dalej".

Wtedy ona znowu, nie oszczędzając jego trwogi, pięknie mówiła o tej chwili, która, zanim jeszcze nastąpi, już wymaga od człowieka, jak od żołnierza idącego do ataku, wysiłków najgniewniejszych, najzapamiętalszych,— gry, w którą trzeba rzucić całego siebie, by raczej w noc upalną spłonąć i roztrzaskać się na miriady błysków, niż tak, jak on, wyglądać śmierci, być tchórzliwym gońcem, który nadbiega z rozkazem już po stoczonej bitwie.

Wypominała mu, jak jej zamedbywał dla znajomych, gapiów, glupców, nieciekawych kobiet, dla każdego i wszystkich, — wypominała zdrady, podstępy, podłostki, fałsze, którymi chciał oddalać w nieskończoność chwilę rozmowy i porozumienia.

— Zresztą — konkludowała — niech cię djabli... Zawsze byłeś drewno, żarłok, bałwan i zero.

Obsiadywały Prospera Dudę sępy melancholji:

a) w dni nieteatralne, niekoncertowe, sesjom i zebraniom towarzyskim niepoświęcone — normalnie 8 — 9 wiecz., jako synteza usposobień całodziennych;

b) w wieczory, obowiązkom społecznym i rozrywkom na żer oddane, przed udaniem się na spoczynek, o godzinie dowolnej, lecz nieodstępnie i z powetowaniem czasu dla nękania ofiary straconego.

Ta równowaga w samej nierównowadze, naiwna niemal metodyczność w samym sposobie zadawania męki, jak ból zęba o tej zawsze porze nocnej, doprowadzały na początku dyrektora Dudę do narad z domowym lekarzem i nawet do konsyljów, ale po niejakim czasie Duda Prosper, człowiek obrotny, tak się z swoim szatanem ułożył, że pozwalając mu wyżerać swój mózg dyrektorski o godzinie umówionej, ale nie dłużej — jak godzinę, wzamian wytargował sobie wolność i niepodległość snu.

Poszedł wkrótce dalej. Przemyśliwał, czyby się nie udało dumań bolesnych ewolucyjnie zamienić na przyjemność bolesną, a potym — na przyjemność zwykłą, jak obiadek, godzinka gazetki i godzinka kinematografu.

Przyszło to jednego dnia bez wysiłku. Miał szczęście Prosper Duda do siebie i ludzi. Raz tylko, jeden jedyny razik to szczęście zawiodło, no... ale wtedy się właśnie Prosper udławił, jak mówiono — nadmiarem tego szczęścia i nie bez udziału ludzi, którzy nic dla kraju nie uczynili.

Nadarzyło się takie licho przeklęte, jak towarzysz z dawnych lat, kolega uniwersytecki, pijak, wałkoń, rozpustnik, awanturnik, zwan niegdyś Orlandem Szalonym, zwan Błyskawicą, — w bilansie ostatecznym — do niczego człowiek, znajomość wprost kompromitująca i w tych warstwach, z których Duda wyciągał dla swego rozrostu soki i ruble — wprost niedopuszczalna.

Prosper Duda o ludziach takich dawno (od 1907 r.) zapomniał, ludzi takich fizycznie nie znosił, z ludźmi takimi się nie bratał, a w duchu, tym samym duchu, w którym cudzołożył z śmiercią, dawał im sto obelżywych przezwisk.

Trafunkiem nieszczęsnym, słusznie potym opłakanym, przybłąkał się ten cudak w dzień i wieczór, kiedy dyrektor Duda, z okazji swych narodzin, podejmował u siebie liczne towarzystwo.

Sam-eś go, Dudo, zaprosił! Była ochota, łaska i wola.

Lubił, lubił dyrektor Duda nawet w *takich* szukać uświęcenia swego bytu, wierząc, że stanowisko wysokie pozwala na szerokość i prostotę w obcowaniu z ludźmi wszelkiego typu.

Była w tym też odrobina przebiegłości. Było nabycie za psi grosz gruntu do łatwego porównania. Bo kto ubił smoka? Prosper Duda czy ten „kolega", wykolejony jenjusz, ubogi kniaź bez dzielnicy, nad wszelką możliwość ubrany źle i niedbale, wygnaniec powracający z nad Uralu?

To byli ludzie w jednym wieku. Ale że Prosper Duda tarczą lic rumianych i gładkich, całym zresztą wzięciem, ułożeniem i dwornością a nawet różawą łysiną, która mu przystała piękniej, niż tamtemu — włosy, — gasił i zgasił, to chyba widzieli wszyscy. Kto miał oczy i kto umiał czytać w oczach, w skroniach, w nawiasach dokoła nosa.

Prosper Duda w tej chwili Andrzeja Dowmonta kochał, kochał za uświetnienie tryumfu, podziwiał dobrowolność jego ofiary, szaleńczą rozrzutność tego przybłędy, który postokroć mógł mieć Prosperowe *Wszystko*, a był... czym był Andrzej Dowmont?

Prosper Duda tak myślał, że mniej — niż niczym, włóczęgą bez plonów, przyjaciół, rodziny i bez stanowiska, stanowiska!

Jątrzyła p. Prospera Dudę tylko jedna myśl, że Dowmont tej, oczywistej dla Dudy i gości, niższości swojej odczuwać nie chce, lub nie odczuwa wcale. Mogło być jeszcze gorzej i na tę drugą myśl wzbierał Duda gniewem prawie imperatorskim. Zwlókłby go gdzieś do alkowy, obił, oplwał i wyrzucił za drzwi. Bo mógł przecież Dowmont dla racji „jakichś *tam* głupich fantazji" czy „jakiegoś *tam* talentu", mądrości dusznych, lecz niewyzyskanych Dudę, dyrektora Prospera Dudę szacować niżej jego wartości, — mieć go wprost za durnia, jak własna Dudy dusza. A tego się Duda lękał, jak śmierci, jak tych godzin sam na sam, na które znajdował nazajutrz zaklęcia w uległości ludzkiej, w szacunkach, realnych dowodach swej przewagi, w wykonywaniu obowiązków poważnych i potrzebnych. Gdyby Duda mógł — o gdyby Duda mógł, — toby dawno Dowmonta i jemu podobnych wytracił. Ale Duda nie mógł, Duda był tylko dyrektorem — i to nie dyrektorjatu, ale instytucji warszawskiej, jednej z wielu.

Gotów był, choć należał do ludzi wyjątkowo skąpych, ofiarować, narzucić Dowmontowi pożyczkę byleby go na ten pewien wieczór pozyskać i odwrócić od swej głowy jego wyroki. Ważył już sumę. Dwieście — trzysta rubli? Czy nie za dużo? Wystarczy sto. Zjadł wypił i jeszcze sto rubelków do kieszeni! Wyjął z pulares rubli .. pięćdziesiąt, włożył z kartą wizytową do koperty i zaadresował..: „W. P. Andrzej Dowmont — drugi stół, trzecie krzesło od okna". List miał wręczyć służący.

Tymczasem Dowmont pił na umór i niesposób było go odciągnąć od kobiet. Przyszedł na tę ucztę dziwaczny, skurczony, jak odmieniec z baśni. Ściągał na siebie gromy zaczepnej ciekawości. Oglądano go, jak osobliwe zwierzę... Krążąc w okolicy, widział go Duda po raz pierwszy, jak chmurny, z uśmieszkiem zakłopotania, rozglądał się po hucznej kompanji — widział, po raz drugi, w wartkiej rozmowie z pyszną kobietą o zdumionych, wielkich oczach, i widział po raz trzeci, kiedy już zawładnął całem sąsiedztwem, a twarz miał już inną, tę, którą Duda dobrze pamiętał z uniwersytetu, twarz przenikliwca, uwodziciela i hulaki.:

Co chwila wykwitał dokoła wysoki śmiech kobiecy, śmiech zasłuchania, — nie drwiący, jak tego szczerze pragnął gospodarz Duda. Szeptali... „to człowiek niezwykły". Duda nasłuchiwał.. Dowmont coś opowiadał.. Może o nim? Ale siedział nieco zdala.. Poprzez wrzawę słowa dobiegały zdyszane, jak wykrzyki. Dlatego, być może, się stało, że gdy Dowmont mówił „o nieprzebytych turniach", — Duda wyraźnie słyszał — „*o nieprzenikalnych durniach*" i w tej chwili przeszyło go raz i drugi. — od płuc do serca pognałem cieńszym od szpilki, ale tak ostrym, że Duda odstawić musiał szklankę burgunda, którą właśnie był podnosił do ust, i nie mógł zachwycić powietrza. Ale minęło. Odsapnął, z początku nieśmiało, ostrożnie, potem z ulgą, potem z wielką ulgą.

I słuchał dalej.. „*W polskiem piekle synekura*".. „Widocznie — pomyślał Duda — nie otrzymał jeszcze pieniędzy. Bo jakżeby śmiał tu, w moim domu". Chciał skinąć na służącego, chciał powstać z miejsca, ale coś mu stanęło w poprzek gardzieli. Począł chrząkać, rękę wzniósł na wysokość kołnierza, zabawnie, płaczliwie wykrzywiła mu się twarz, jak na kichanie, i naraz zwalił się ciężko pod stół...

— — — — — — — —

— Bo widzisz, szanowana, — mówił Dowmont już nad ranem — do kobiety, z którą przepijał w separatce pięćdziesięciorublową darowiznę: — „Duda — to nie jest Duda, którego trafił szlag, Duda — to absolut, mój pan i pies, Duda to zagadnienie materji, problem całego świata... A ty się śmiejesz.. Niech żyje i prosperuje Prosper Duda!

— I ty — djabeł.. dodała kobieta — i wcałowała mu się w usta..

Avanti.

KRYTYKA.

„Drzewiej" Orkana jako obraz rzeczywistości dzisiejszej.

Śni mi się rzeczywistość, którą znałem, nim zmarła, choć urodziłem się na jej pogrzebie; mam to uczucie -- wiedzę, iż na nią patrzyłem. Chciałbym, iżby odżyła w śnie. To jest umiłowanie przeszłości, czy też przyszłości — jedyna rzeczywistość, którą z przykrością śnimy, jest obecna i my w niej. Któż naszą rzeczywistość będzie znowu śnił z umiłowaniem?.

W ten sposób rozpoczyna Orkan swój wstęp do „Drzewiej". Jego wyjście w świat sztuki jest rzekomo furtką z obrębu rzeczywistości dzisiejszej. Tak czuje wielu petów współczesnych. Rzeczywistość dzisiejsza uchodzi za straszaka, przed którym się pierzcha w sen, w marzenie, baśń. Nieraz ten lub ów poeta wspomina mimochodem i półgębkiem o strasznych katastrofach, które go spotkały w owej rzeczywistości, lecz nie raczy mówić o nich głośno i wyraźnie. Poeci dzisiejsi podobni są do osób ze sztuk Ibsena: każda z nich ma przeszłość, która nad nią ciąży i o której chce zapomnieć. Lecz tu właśnie — czyha wiele niebezpieczeństw. Jednem z nich jest fałszowanie rzeczywistości, wyobrażanie jej sobie jako coś bardzo prostego, grubego, szorstkiego. Wprost przeciwnie, rzeczywistość jest niesłychanie bogatą, zawiłą, paradoksalną i dla tęgiego apetytu artystycznego niema czarowniejszego widoku, jak *szerokie pole* rzeczywistości, jakie wytwarzają wielkie skupienia ludzkie — to jest miljonowe miasta. Tu dopiero wychodzą na jaw charaktery, rozwijają się i komplikują namiętności, podczas gdy na polu mniejszem — w miastach niedużych wszystko to się zakapturza, wypacza pod ciężarem obłudy i gorzknieje przedwcześnie. Artysta ma prawo uciekać, w świat baśni lub snu, lecz tej ucieczce nie powinien towarzyszyszyć gest barońskiej pogardy dla tego, co się porzuca w owej chwili..

Zresztą, rzeczywistość trzeba umieć widzieć. Opisywacze rzeczywistości przez tyle lat ubożyli ją, sprowadzali do kilku faktów prostych i przez ciągłe powtarzanie zbanalizowanych, że większość umysłów, zepsuta na tego rodzaju przykładach, uważa za urojenie, mrzonkę, romantyzm to, co jest właśnie najbujniejszym faktem rzeczywistości, naprzykład każdą naturę paradoksalną, wyobraźnię zawiłą, charakter pełen uczuć nieprzewidzianych. Natura przeciętna nie daje wcale o rzeczywistości pojęcia prawdziwszego, niż niezwykła, która przecie jest też rzeczywistością. Jeśli się nie wymienia numeru domu i nazwy ulicy, przy której mieszka bohater i każe się mu snuć marzenia o barwach tęczowych, to jeszcze się nie opuszcza wcale dziedziny rzeczywistości. Powiem więcej: wszystko, co dziś istnieje naprawdę, marzy, gorączkuje w marzeniach. Tęgi apetyt do innego życia, poczucie nieodpowiedniości dzisiejszych form społecznych jest tym cementem, który spaja tych, którzy pragną szczęścia osobistego, z tymi, którzy chcą szczęśliwości społecznej: jak jedni, tak drudzy należą do gatunku niezadowolonych.

Nie zgodzę się na to, aby piękny poemat Orkana „Drzewiej" nie był rzeczywistością, obrazem dnia dzisiejszego. Tu bije współczesna tęsknota do rzeczy rozległych i potężnych żywiołowo, miłość mocarnej dziewiczej natury, żądza otrząśnięcia się z drobiazgów, rozprostowania ramion, ujęcia siebie w rysach wielkich, zasadniczych, w instynktach głębokich i pierwotnych. Człowiek dzisiejszy w wielu razach przeanalizowuje siebie, żłobi w sobie tajemne przechody, aż staje się zbyt kruchym, filigranowym. W „Drzewiej" jest ziszczenie dzisiejszej tęsknoty do syntez prostych i wszechogarniających. Zamiast zawiłości procesów psychicznych — ich gorąca, zdrowa bujność. Lecz każdy krok Daniela, Prokopa i Jewki — to krok ludzi dzisiejszych i współczesna rzeczywistość, przed którą autor chciał się wymknąć...

Uderza niezmierna prostota fabuły: dwoje młodzieńców, zakochanych w jednej kobiecie-siostrze, z których jeden jest Kainem, drugi—Ablem. Siostra — rodzaj cudnej Ofelji słowiańskiej, stary ojciec i puszcza.. Oto wszystko. Ona z tym wiekuistym marzeniem kobiecym, by ten, kto ją posiądzie, był bohaterem, każe im szukać kwiatu paproci. Znajduje ten kwiat brat młodszy — Daniel, poeta. Starszy znieść nie może porażki i zabija brata.

W rysach ogromnych i wspaniałych oddaje Orkan rdzeń tych dwu natur, z których jedną otacza rój wizji, rzęsisty krąg piękna, a druga stworzona jest do twardej, uporczywej walki, do niezłomnego łamania się z losem i bez wątpienia,— do bohaterstwa, o ile wśród tej nocy, która ją otacza, nie stanie brat-współzawodnik.

Głęboki liryzm — naprzykład w „Żalach Jewki" — to znowu rys współczesnej duszy kulturalnej, w której wielki zasób uczucia, nie mogącego w czyn się zamienić, wytwarza ferment gorący i upojny.

I dlatego złudzeniem tylko jest ta rzekoma wędrówka w czasy odległe, w rzeczywistość odmienną. Należy odróżniać pozór, maskę, ubranie od rzeczy samej. Puszcza pierwotna czy zamek fantastycznego króla jest siedzibą współczesnej rzeczywistości, tej najgłębszej, żyjącej w piersiach ludzi najgorętszych, jeśli ludzie, którzy snują się po tej puszczy lub mieszkają w tym zamku, są wcieleniem dzisiejszej tęsknoty do życia pełnego i zdrowego. Rzeczywistość dzisiejsza nie tylko nosi spodnie w kratki, chodzi pod parasolem, siaduje przez 25 lat z rzędu przy biurku, chrząka ehem! ehem! i w rozmowie powtarza co

chwila: „co to ja chciałem powiedzieć“, nie tylko lata w powietrzu na samolocie, lecz i żyje głęboko w piersi człowieka, jako dążność gorąca, nieuzasadniona, marzenie, żądza... Tymczasem rzeczywistość ciągle się określa, jako coś, do czego jest zdolny umiarkowanie tępy człowiek. Lecz życie nie jest parlamentem, gdzie sprawy rozstrzyga większość choćby najtępsza. Poeta — Orkan, zaczyna swe dzieło od jęknięcia na dzidzisiejszą rzeczywistość — nie do zniesienia, a potym cóż robi?

Daje przepyszny poemat, który jest przecie *jego* rzeczywistością i rzeczywistością dni dzisiejszych, bo on, człowiek współczesny, to wszystko przeżył. Rzeczywistość ogólnie przyjęta jest niczym innym, jak rzeczywistością średniej miary, która ma pretensję, by ją wszyscy uznawali za obowiązującą. Lecz nie jest rzeczą poety przywtarzać tym uroszczeniom i mówić: Darujcie mi, teraz oddam się marzeniom... On powinien raczej walczyć z tym natrętnym wytworem średniej miary i utrzymywać: Nie opuszczam *rzeczywistości*, zagłębiam się w nią, ukazuję jej blask i barwę, jej siłę ukrytą, jej mądrość milczącą. A jeśli w tym wszystkim nie poznajecie rzeczywistości dzisiejszej; nie moja w tym wina: ja widzę ją *tu* i *tu* ją miłuję...

Leon Choromański.

Wrażenia i refleksy.

A. Szczęsny: **To co się stało.** Poezje.

Kiedy czytelnik zagłębia się w dziele poety, chodzi mu oto, aby go ująć i odgadnąć. Nie zawsze to bywa możliwe, a zbytnia prostota autora, przez co łatwo bywa odgadywany, jest raczej wadą, niż zaletą. Nie należy się dać pokonać zbyt łatwo, i dzisiejsza wytworność stylistyczna ma między innymi i to na celu, aby napiętrzyć trudności, przez co do jądra rzeczy przenikają tylko niektórzy. Jestto swego rodzaju zwiększenie cenzusu dla czytelników.

Prócz tego, bywają poeci, a do tych A. Szczęsny należy, których rodzaj przeżyć utrudnia niezmiernie wszelkie określenie. Są to istoty zakapturzone po siedmiokroć. Tworzenie się ich poezji odbywa się gdzieś niezmiernie daleko, głęboko, w dali od świata, w uciszeniu, gdzie tony życia dochodzą zgłuszone gdzie wrażenia mają zwiewność koronkową, gdzie pielęgnuje się rzadkość i niezwykłość wrażeń. Świat Szczęsnego to oranżerja lub pustelnia, a w jego duchu jest coś z bladego eremityzmu Oto poeta, który życie kocha w utworach jego piankowych, w lśnieniach niezwyczajnych, w zjawiskach gorączkowo-rojących się, w mozajce, w arabesce. „Niosąc w pieśni strasznie łkającą i niemą piosenkę, niosąc w piersi nutę najwyższego kłamstwa, które błogosławieństwem pożegnania jest — będę rozrzucał miłośnie kijem swoim cudze ogniska, *szukając pięknych iskier w popiele*“. Szczęsny jest w swej filozofji wyrzeczenia się świata w tym, co szorstkie, zdrowe, tęgie, energiczne, rumiane, krwiste, silne i tragiczne, konsekwentny i jednolity: jest on naprawdę tym, co wzgardził i usunął się. Lecz przez to, jakiż świat zostawił dla siebie? Świat bladości anemicznej, szumu konch, widzeń wytwornie groteskowych, półwrażeń, które nigdy nie stają się wrażeniami, których piękność polega na tym, że umierają za nim zdołały krzyk wydać. Tego rodzaju wrażenia i życie należą do kategorji snu. Szczęsny przebywa w królestwie sennym, gdzie piękno i brzydota spada nagle nic przywoływane i nieprzywoływane odlata. Świat Szczęsnego jest światem, gdzie wola niema już nic do powiedzenia: jej rola jedyna—wytrwać w eremityzmie. Lecz rzeczą oryginalną w Szczęsnym jest to, że ten stan odrzucenia czy odejścia w odosobnienie nie jest dla niego, jak dla wielu poetów, którzy nie mogą zdążyć za ruchem ziemi, krynicą płaczliwych wyrzekań, szamotań się i rozdarcia. Jego łagodna, zrezygnowana tęsknota znajduje pokrzepienie, mannę boską w przeświadczeniu, że jest wygnańcem tylko na tę ziemię, duchem dostojniejszym, wybrańcem. Historja ziemi dla tego poety jest groteskowym połączeniem błazeńskiej bufonady i zdrowej ospałości lśniących karminowych policzków mieszczańskich.

Mówi on: „Nie kładźcie pieśni na ciężkich chorągwiach ludzkości, wleczonych za drzewca po polach bitew i zamętu. Niema tam dla niej miejsca. Byłoby to przed czasem lub po czasie

Nie wymawiajcie pieśnią dusznych pożądań tłumów tam bęben i ciężki młot kowala muszą odegrać swą rolę.

...Ale nieście ją w myśli jako to, co się spełnić nie może, jako to, co niema ceny ani przetargu.

..Największe szczytne loty, niemające jeszcze za sługi ani królów ani gminu, żyją w was. Potym dopiero nastąpi podle wykonanie, śmieszne „teatrum“ widm i zwierząt.“

W świecie Szczęsnego nic przejść nie może w sferę wykonania. Sny ulec muszą rozwianiu...

Eremityzm Szczęsnego karmi się gorączką snów. Czy te sny dadzą się pogłębiać? Czy w tym stanie, w jakim obecnie poeta się znajduje, tkwią warunki dalszego rozwoju? Jedna jest rzecz pewna, że Szczęsny jak wielu innych autorów polskich, jest w stanie ducha niebezpiecznym, choć bez wątpienia posiada szczery i cenny talent poetycki.

Otto.

KRONIKA.

Pod schyłek roku, gdy całe chóry dzienników, czasopism tygodniowych i miesięcznych oraz wydawnictw „gwiazdkowych“ prześcigają się nawzajem w autoreklamie, godzi się zwrócić uwagę na pisma, które nie czynią zgiełku wokół siebie, idąc drogą pracy zabiegliwej, cichej lecz płodnej i sięgającej w przyszłość. Do tych pism należy *Ster* organ Związku równouprawnienia kobiet polskich. Przez szereg lat wychodząc jako miesięcznik, od roku przyśpieszył tempo życia, przedzierzgając się w pismo dwutygodniowe Zawsze żywotny, zawsze aktualny, wypowiada i w chwili obecnej, w N-rze ostatnim, szereg uwag trafnych, a obywatelską nacechowanych dojrzałością pod adresem społeczeństwa, z którego porywem obecnym ku samoobronie przez pracę twórczą, *Ster* najgoręcej się solidaryzuje, jako z wielkim odradzającym dążeniem; w tej samoobronie kobieta, zdaniem *Steru* stanąć winna obok mężczyzny, nie jako „podrzędnica“, która lekceważąc ból własny śpieszy ze słoikiem wonności namaszczać tego, kogo odcisk zabolał lub kto przywdział maskę bohaterstwa, ale jako samodzielna, świadoma swej roli współtwórczyni życia narodowego.

WZROST PRODUKCJI ŻELAZA W KRÓLESTWIE POLSKIM. W przeciągu ośmiu miesięcy roku bieżącego w porównaniu z tymże okresem roku poprzedniego w hutach Królestwa Polskiego, według statystyki ministerjum finansów, wyprodukowano:

	w r. 1911	w r. 1912
surówki	13,274,000	15,791,000 p.
żelaza	14,509.000	15,896,000 p.

Sprzedaż na rynku w tymże czasie wyniosła:

	w r. 1911	w r. 1912
surówki	2,849,000	2,043,000 p.
żelaza	11.117,000	11,818.000 p.

Z liczb tych wnioskujemy, że produkcja surówki wzrosła w roku bieżącym w porównaniu z rokiem ubiegłym o 19 proc., żelaza zaś o 3,2 proc.

Ponieważ produkcja surówki podniosła się o 2,517,000 pudów, sprzedaż zaś zmniejszyła się o 806,000 pudów, wnosimy stąd, że w hutach polskich odpowiednio spada także użycie surówki, dowożonej z innych okręgów hutniczych, mianowicie z południa Rosji.

Zużycie żelaza w hutach na dalszy wyrób fabrykatów zwiększyło się z 3,103,000 do 3,739,000 pudów czyli o 20,5 proc.

MŁODZIEŻ POLSKA W NIEMCZECH. Młodzież polska, bawiąca na studjach naukowych w Niemczech, otrzymała zawiadomienie, iż na żądanie władz niemieckich obowiązana będzie opuścić granice państwa niemieckiego w ciągu 24 godzin.

KOOPERATYWA W KRAKOWIE. Przed trzema tygodniami zawiązał się w Krakowie „Oddział krakowski Towarzystwa kooperatystów w Galicji". Zadaniem Towarzystwa jest propaganda idei spółdzielczej i przestrzeganie czystości zasad kooperacji, oraz podejmowanie wszelkich akcji, zdążających do podniesienia ruchu spółdzielczego w kraju, w szczególności zaś współdziałanie przy zakładaniu kooperatyw i popieranie ich działalności.

Zebranie organizacyjne odbyło się w sali Tow. rolniczego pod przewodnictwem p. Józefa Beka z Limanowej. Prof. d-r Adam Krzyżanowski wygłosił rzeczowy referat o rozwoju naszej kooperatywy, o jej brakach i potrzebie teoretycznej wiedzy, któraby tej doniosłej szczególnie dla nas gałęzi ekonomicznej wytknęła odpowiednie drogi.

Po referacie rozwinęła się zajmująca dyskusja. W końcu wybrano zarząd, w skład którego weszli pp.: Józef Bek, prof. d-r Franciszek Bujak, d-r Józef Baczyński, prof. d-r Adam Krzyżanowski, Roman Woyczyński, d-r Zofja Daszyńska-Golińska, prof. d-r Stefan Surzycki, d-r Stanisław Wilczyński, ks. prof. d-r Zimmermann.

Książki nadesłane do Redakcji:

H. Balzac „Opowiastki jurne". Przekł. Celiny Hańskiej. Wyd. Ultima Thule. Warszawa—Kraków, S. A. Krzyżanowski, 1913, str. 202.

D-r Feliks Koneczny: „O pejdokracji". Warszawa, 1912. Wyd. „Słowa". Str. 71.

D-r Fr. W. Foerster: „Wychowanie człowieka". (Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów). Zeszyt VII. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1912. Str. 481 — 560.

Władysław Gacki: „Drogą", zbiór obrazów i nowel: Przykra rzecz. — Z ulicy. — Nazajutrz. — Wolni.—Lekcja religji. — Staś u spowiedzi. — Pokłosie.—Piccolo. — Róże. — Biesiada familijna. — W tęsknocie za czynem.— Widzenie. — O zmierzchu — Bajka. — W mgle. — Franek. — Drogą. — Święta msza. Str. 250. Warszawa.

Leon Choromański: „Złota droga". Nowele: Ręce. — Pani Hould. — Ostatni wieczór księżycowy błazna. — Syn marnotrawny. — Baśń o miłosiernej córce.— Baśń o zaprzedanym szczęściu. — Arjadna. — Złota ryba. — Markiza de Brinvilliers. Str. 200. Warszawa.

Anna Montgomery (tłom. Celina Kuszerówna): „Jur", książka dla dużych i małych. Warszawa 1912, Str. 155.

Eugenja Żmijewska: „Jutro", powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Str. 390.

Władysław Kozłowski: „Pisma filozoficzne i psychologiczne". Lwów, 1912 roku. Polskie Tow. nakładowe. Kraków. Str 580.

J. K. Kochanowski: „Nad Renem i nad Wisłą". Antyteza dziejowa. Warszawa. 1913. Nakładem księgarni E. Wendego i S-ki. Str. 250.

Bolesław Leśmian: „Klechdy sezamowe" — ilustracje E. Dulaca. Warszawa, Kraków, 1913. Wyd. I. Mortkowicza, str. 223.

Janusz Korczak: „Sława" — opowieść. Okładka i ilustracje I. Toma. Wyd. I. Mortkowicza, Warszawa, 1913 r.

Feliks Jabłczyński: „U stóp Partenonu". Wyd. I. Mortkowicza. Warszawa, 1913, Str. 89.

W. W. Thackeray: „Pierścień i róża", spolszczyła Zofja Rogoszówna, Warszawa, 1913. Nakł. I. Mortkowicza, Str. 178.

[illegible] przekład i uwagi W. Haberkantówny. Warszawa, 1913, Nakład I. Mortkowicza. Str. 215.

Nal i Damayanti: „Baśń staroindyjska z ksiąg Mahâbharaty". Z sanskrytu przełożył A. Lange, wyd. II, Warszawa, 1913, Kraków, wyd. J. Mortkowicza.

Polska pieśń miłosna. Antologja, wybrał i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz (z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich). Nakład Gebethnera i Wolffa, War- [illegible]

Słownik rzemieślniczy ilustrowany część I: Obróbka metali. Wyd. Kasy Mianowskiego, Warszawa, 1912. Skład główny Gebethner i Wolff, Str. 98.

F. Lazarusówna: „Złoty pokoik". Nakł. wyd. „Życie" w Krakowie, Str. 114.

Aleksander Szczęsny: „Kolorowe okienko" (ilustracje Z. Eichlera), Warszawa—Kraków, 1913, Wyd. J. Mortkowicza, Str. 113.

Leon Choromański: „Dziwne przygody", bajki dla małych dzieci, obrazki Piotra Ostrowskiego, Warszawa—Kraków, 1913. Wyd. E. Centnerszwera i S-ki, Str. 84.

D-r Władysław Spasowski: „Adam Mahrburg i jego poglądy na naukę i filozofję" (analiza porównawcza). Warszawa, 1913. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa, Str. 184.

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski**. Wydawca: **Józef Jabłoński**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.